

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 28go Kwietnia 1882.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca

Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.

pod opaską 3½, złp. = 175 fen.

Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:

Wojc. Simon (w zastępstwie).
w Poznaniu.

Dzień 29go Listopada 1830.

Sonet.

Trupa ziemi pokryły chmur puchy łabędzie,
Jasno, rzeźwo w Warszawie — w domu na ustroniu
Siedział młodzian w komnacie, dobył skrytej broni,
Karmił sadzą, ołowiem krwi chciwe narzędzie.

I złożył — wzrok zatoczył, aż w ulic krawędzie,
A sprzeczne myśli wchodzą, nikną z jego skroni —
Wspomni lubą, rodziców — i gorzkie łzy roni —
Wspomni wolność, Ojczyznę — i smutku się zbędzie.

Pierś wciąż rośnie mu w górę — usta zaciśnięte,
Znać westchnienie, nie mogąc przełamać tej tamy,
Rozsadzały na dwoje serce żalem wzdęte.

Grom zagrmiał — łuna łyska — młodzian się ocucił —
Broń porwał — dał znak krzyża — wnet stanął u bramy:
„Bracia! za broń! — i w stronę, gdzie bój wrzał się zwrócił.

Hieronim Kajsiowicz.

Hymn w czasie oblężenia Warszawy.

Ryczą harmaty, aż drżą okolice,
Ach proście Pana pokoleniem całym,
Padajcie na twarz, sarmackie dziewice,
Matki, ukłęknać kaźcie dziatkom małym.
I tylko cicho tak proście ze łzami:
Boże nasz, Boże — zlituj się nad nami?

Któryż to miesiąc, jak w krwi naszej brodzi
Wróg nasz nie syty mordów i płomieni —
Gdzie miecz nie sięgnie, to tam mór dochodzi,
Cała kraina w pustynie się mieni —
Spojrzyj na te tobie kościoły stawione,
Boże potężny — przyjmij w swą obronę.

Był czas — wszak czynów tych nie zetrą wieki —
Szli nasi w pomoc sprzymierzeńcom broni —
Nil był im bliżki i Tag nie daleki,
A gdy my ginie — nie przychodzą oni —
Bo któż w nieszczęściu przyjaciół dostanie?
Ty tylko jeden — ty ratuj nas, Panie!

Syn twój zaręczał, chodząc między ludem:
„Proście, a góry Pan postrząca w morze“,
Otoż my prosim, Panie, wstaw się cudem,
Ojczyznę naszą wyratuj, nam Boże!
Prosim pokornie, prosim cię ze łzami:
Boże nasz, Boże — zlituj się nad nami!

Antoni Górecki.

NALECZ.

Romans z dziejów polskich.

przez Autora „Pojaty.“

(Ciąg dalszy.)

Rozdział VII.

Powiejcie wiatry od wschodu!
Z wami do mojego rodu
Poślę skargę obciążoną,
Miłością moją skrzywdzoną!

F. Karpiński.

Zaledwie Bronisław układał się na łożu, które mu Agata w pierwszej sporządziła izbie, ukazał się w niej wchodzący ostrożnie pielgrzym, widziany niedawno u rozwalin Bolesławca. Poznał go zaraz młodzieniec po białych włosach i dzikim wzroku; lecz pomny zaleceń ojca, pozostał w milczeniu, czekając co z tych odwiedzin wyniknie. Kosidło tymczasem, oddawszy mu ukłon głęboki, brał się do czapki i laski, dając poznać, że gotów był na jego rozkazy.

— Czy nie przychodzę za późno? spytał pielgrzym surowo.

— Owszem w sam czas, odpowiedział starzec; jeszcze nie ma północy i właśnie będzie, gdy staniemy na miejscu.

— Uprzątnionoż zawady?

— Wszystko jest w porządku.

— Bacz dobrze! rzekł pielgrzym, ukazując mu sztylet z zanadru; ty pierwszy padniesz na najmniejszy znak zdrady!

— Ja zdradzać nie umiem, groźném groźne zbijając spojrzenie, odpowiedział starzec; kto mnie nie ufa, niech nie szuka mojej pomocy!

— Chodźmy więc, ponowił pielgrzym, ruszając sążnistym krokiem i ciągnął z starcem uboczną ścieżką na zamek.

Chociaż w bramie, jak zwykle, w nocy most był zwiedziony, na dany znak przez starca otworzyła się ostrożnie furtka, a wysunięty z wewnątrz niewidzialną ręką dyl szeroki, służąc za kładkę, ułatwił przejście. Ciemność i milczenie panowały w gmachu. Wprowadzony pielgrzym na górę, przebywszy kilka sal próżnych, w ostatniej, oświeconej ogniem z ogromnego komina, przyjęty został z uradowaniem przez wysokiego, chudej postaci starca, w błękitnym do kolan kaftanie, z pękiem kluczy u pasa, i w czarnej gładkiej czapeczce, którą zdjąwszy z pośpiechem, tysiączne pielgrzy-

mowi oddawał ukłony, witając go zniemczała polszczyzną i wybiegszy do przyległej komnaty, wrócił niezwłocznie, dając znać, że wejść tam można.

Była to izba obszerna, obita ciemnym suknem, na którym wyszywane w kolory ręką najkunsztowniejszą wizerunki świętych męczenników olbrzymiej wielkości, oraz gockimi literami u góry różne pobożne godła i napisy, dawały jej postać smutnej powagi, którą jeszcze bardziej uroczystą czyniło słabe światło kilku lamp zawieszonych przed znakomitszymi Świętymi. Siedziała tam przed długim dębowym stołem prostej roboty mała, krępa, około czterdziści lat mająca niewiasta, w czarnej obszernej szacie, zatrudniona do bywania z żelaznej szkatułki kosztownych ozdób niewieścich, pereł, dyamentów, rubinów i innych w sprzęt oprawnych kamieni. Twarz jej duża, płaska i blada, oczy i nos małe, żałobne odzienie, przykro odbijały od tego zbioru bogactw, które wyszła przekładając ręką, zdała się w smutnym umyśle wznawiać przywiązane do nich miłe wspomnienia przeszłości. Jak tylko stanął przed nią pielgrzym, pądszy na kolana: „Cześć i chwała tobie, najjaśniejsza pani!“ zawołał z uczuciem.

— Czyż się godzi, książę, do tego uniać się stopnia, żeby mnie, niewolnicy jednej, godny tylko Boga i jego Świętych oddawać pokłon! Wstań, proszę, i racz usiąść! mówiła podnosząc go łaskawie.

— Nie zwij mnie pani książęciem, zawołał pielgrzym: byłem nim kiedyś, byłem więcej, bom był najszcześliwszym z ludzi! Teraz jestem żebrakiem! Twój mąż okrutny, a mój stryj niełudzki wszystko mi wydarł! Ale ty, pani, możesz na mnie długo czekać? Daruj, ostrożność potrzebna i późno zachodzący księżyc był tego przyczyną.

— Mój książę, odpowiedziała królowa z przymuszonym uśmiechem; moim przeznaczeniem jest zawsze czekać. Ale jakież mi przynosisz nowiny?

— Najpożądane: zemsta się nad głową ciemieży unosi; lecz trzeba, pani, żebyś także działała.

— Ja mam działać? żartujesz książę; ale powiedz mi, widziałeś się z naszym przyjacielem Ziemowitem?

— Widziałem go przed dwoma dniami na służkiej granicy, gdy z Pragi wracał.

— Jakież są jego zamiary?

— Wzmocni on spadłością ziem obszernych po bracie, kochany od sąsiadów, miły poddanym, szlachetny, waleczny jako Piast, postanowił zamiast oddania wymaganego przez Kazimierza holdu, mieczem się dopomnieć upośledzenia swego do tronu i na ten koniec zbrojnie mu zaprzeczyć prawa ziem czerwonoruskich, jako niesprawiedliwie swym przodkom wydartych.

— Nic słusznieszego zapewne. Lecz co na moje przełożenie powiedział?

— Nigdy on większą życzliwością dla waszej królewskiej mości, nigdy większą nienawiścią nie oddychał dla jej okrutnego małżonka; i gdyby mu tylko czas pozwolił, samby się stawił u stóp twych, pani, dla zapewnienia cię o swych uczuciach.

— Ach! ja tego nie żądałam od księcia! rzekła ze zmartwieniem królowa. Lecz czy wiadomo mu przynajmniej, jaki duch panuje w ziemiach, od których chce zacząć upokorzenie mojego męża? Lud tam wiary nie pewnej, łatwo

się przechyla na stronę bogatszą, a Ziemowit nie ma czém brząknąć.

— Miłość wiary ojców jest potężniejszym bodźcem nad wszystko. Dzielnym Daszko, starosta Ziemi Przemyskiej, na Rusi Czerwonej, kochany od narodu, a zniechęcony surowością środków, jakich duchowieństwo polskie używa w nawracaniu krajowców do katolickiego wyznania, gotów jest za pierwszą zrzeczością wybić się z jarzma polskiego. Ma on po sobie książęcia na Ostrogu, wielkorządcę Wołynia. Ziemowit już się z nimi porozumiał. A gdy Ludwik węgierski targuje się z wujem o posiadłość tych krain, Ziemowit uprzedzając skutki ich naradzeń, chce nagle przez Podlasie wpaść z wojskiem na Wołyn i ztamtąd przy pomocy Tatarów kapczackich działać przeważnie. Lecz ponieważ dla zasłony jego krajów dziedzicznych potrzebna jest pomoc Krzyżaków, prosi cię, pani, o wstawienie się do cesarza, żeby, jako swych sprzymierzeńców, skłonił do tej posługi.

— Czy cesarz życzy sobie wspomagać otwarcie księcia mazowieckiego przeciw memu mężowi?

— Czekaj tylko na twój głos, pani. Nie trzeba ci mówić, że z ręki jego ojca Jana poślubioną została Kazimierzowi, i że z dawna dom luksemburski tchnie uczuciami przyjaźni i życzliwości dla domu twojego. Nie uwierzysz, pani, ile cesarz boleje nad twą niedolą! O! gdybyś była zamiast szukania papieżkiej opieki, jego się powierzyła obronie, już byś może dawno do praw twych wróconą została!

— Ach! czyż się nie odzywałam, czy nie szukałam jego pomocy? lecz na wszystkie me skargi częściej tylko pociechy odbierałam odpowiedź. Już podobno nie ma mocy światowej, któraby mię wsparła!

— Przy zachodzących stosunkach między cesarzem a twoim małżonkiem, nie listy i pisma, lecz łzy, łzy twe, pani, mogły tylko działać skutecznie. Karol jest czuły, dobroczynny, wspinały; lecz trzeba umieć go wzruszyć. Tak jest; stań przed nim w tym wdowień odzieniu, błagaj i wyrzekaj, a pewnie otrzymasz potrzebną nam i tobie pomoc!

— Słuchaj, książę gniewkowski, rzekła z zastanowieniem królowa: wszystkom gotowa uczynić na przyspieszenie zguby Kazimierza; lecz póki jestem niewolnicą jego, opuścić tych murów nie mogę.

— I cóż cię, pani, do nich przywiązuje? zapytał zdziwiony pielgrzym.

— Rozkosz trapienia Kazimierza moją pod jego boki obecnością. Nie ja jego, on moim jest więźniem.

— Jak to! przerwał oburzony pielgrzym. Dwanaście lat ciężkiej niewoli, dwanaście lat gorszącej niewierności małżonka, jego gwałty, zabory, ucisk duchowieństwa, ten nawet mór z głodem, karzący naród za zbrodnie pana, nie są jeszcze dostateczne, aby twą nienawiść połączyły z świętym zapalem kilku książąt, usiłujących uwolnić się od przemocy tyrana! On szydzi z twój zemsty, która ciebie tylko udręcza. Ach, Pani! jeśli twój hańby nie czujesz, jeśli cię nasze nie obchodzą krzywdy, zostań więziona, nam dozwól działać!

— Władysławie! rzekła królowa, spokojniejszą przybierając postawę, ty we wszystkich twoich uczuciach zawsze byłeś niepomiarowany, i pozwól sobie powiedzieć, że ten zbytek namiętności zgubę twoję przyspieszył. Widzisz te skarby, mówiła, pokazując mu rozłożone na stole drogie swe sprzęty; weź je i mnoż nimi liczbę nieprzyjaciół mojego męża; lecz nie żądaj, abym ustąpieniem z tych murów zo-

stawiała pole zwycięstwa. Wreszcie taka jest wola papieża, taka rada biskupa Bodzanty i takie moje niezmiennie życzenie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Materyały do historyi Stanisława Leszczyńskiego Króla polskiego.

Z oryginałów w języku francuzkim i łacińskim tłómaczone przez Konstancją hrabinę Raczyńską, Józefę hr. Radolińską, Józefa Morawskiego i Romana Ziółckiego.

(Ciąg dalszy.)

Rozdział X.

Relacya Konferencyi JPanu posła z JP. kanclerzem w Wersalu, dnia 8go Lutego mianej.

(z francuzkiego tłómaczona.)

Po naznaczonej na dzień jak wyżej konferencyi, udał się JPan poseł do JPana kanclerza, zrana o godzinie 8mej, gdzie po zwyczajnem z obu stron przywitaniu się, zaczął konferencyą swoją w te słowa: Upatrzywszy chwilę dogodną po długiej chorobie mojej, korzystam z niej, aby z panem pomówić w interesie naszym i waszym zobopólnym. Chodzi tu równie o sławę króla polskiego, jak o waszę. Po nieszczęsnej deklaracyi, że król Stanisław żadną miarą na tron polski nie może być wyniesiony, widząc, że mi nie pozostaje nic więcej do czynienia, porzuciłem mój pobyt w Wersalu, i udałem się do Paryża. Potem pisałeś Pan kilka listów do mnie, zapraszając na konferencyą z sobą, a gdy przybyłem, oświadczyłeś mi, że jeżeli rzplta ma inne jakie sposoby bronienia swych praw i swobód, niech się trzyma Francyi, a nie będzie tego żałowała. Później podałem mój memoriał, nie odebrawszy nań żadnej odpowiedzi; a tymczasem piszą mi z Królewca co następuje. Nasamprzód donoszą mi o wielkiej nędzy, z przyczyny braku pieniędzy. Powtórę, że elektor saski i carowa nie zważają na praeliminaria z Wiednia, jak się Pan przekonasz z listów kanclerza i podkanclerzego z Warszawy pisanych, z listów Ostermana i Kajzerlinga; że chcą, abyśmy przystąpili do konfederacyi warszawskiej, zawiązaney na zasadach konfederacyi sandomirskiej z r. 1704., która króla Stanisława czyni wygnańcem i bannitą. W tym względzie piszą mi z Królewca między innemi i to co następuje: Jeżeli przystąpimy do konfederacyi warszawskiej, uznamy przez to samo za ważne prawo, wydane przeciw królowi Stanisławowi, ogłaszając go wygnańcem. Ponieważ zaś on, wygnaniec, jest teściem króla francuzkiego, przeto i król francuzki jest zięciem wygnańca, królowa francuzka córką wygnańca, Delfin wnukiem wygnańca, nakoniec cała rodzina królewska potomstwem wygnańca. Na te słowa uniósł się gniewem pan kanclerz, i powiedział: Któryż minister mógłby słuchać takich niegodziwości przeciw swemu królowi? JPan poseł odpowiedział: Nie ja to mówię, jest to głos waszych nieprzyjaciół, uwiadamiam tylko o

tém pana po przyjacielsku. Nie przystoi też na mini-stra unosić się, i nie mieć cierpliwości słuchania tego, co mu się przekłada. Pan kanclerz odpowiedział na to: A więc dobrze, słucham W Pana. JPan poseł mówił dalej: Nie unosi się pan, dosyć już cierpiałem z przyczyny twoich uniesień, w chorobie mojej, która jedynie ztąd pochodziła. Cóż było w tém złego, że panu niegdyś przełożył, aby, gdyby sprawy Polski nie mogły być ukończone chwalebnym i sprawiedliwym dla sprawy ogólnej pokojem, Francya podała nam sposoby popierania spraw naszych wojskiem bliżej naszych granic? Cóż mogło być zadziwiającego w żądaniu, aby dochody króla Stanisława i otaczających go osób były uregulowane? Jeżeliś pan nie mógł Gdańskowi dać posiłków w wojsku, wszyscy utrzymują, żeś mógł to nagrodzić zaliczeniem nam dwóch, albo trzech milionów na zaciągnięcie wojska. Pan uniósł się gniewem, który mię tak dotknął, że natychmiast wpadł w chorobę. Ja, który będąc jednym z znamienitszych sług króla, sprawując urząd posła jego, mniemałem, że będę tu na ręku noszonym, jako posłany od króla, teścia króla francuzkiego; sądziłem, że doznam wszelkich przyjemności, gdy tymczasem doznaję samych afrontów i ronię mój własny majątek, mieszkając w Francyi. Jeszcze teraz świeżo wyprawileś pan kurjera bez mojej wiadomości, jakżeż chcesz, aby ci wierzono i twoim obietnicom ufano? Chodzi tu o twoję, twojego króla i całego narodu sławę. Odpowiedział pan kanclerz: Co do sławy króla, król wie lepiej jak swoją sławę utrzymać; toż samo i ksiądz kardynał. W Pan nie powinienes się w to w żaden sposób mieszać. JPan poseł odpowiedział: Czy sądzisz pan, że to będzie w naszej ruinie zagrzebane, i że cały świat, zemy sami tego nie widzimy, jaką Francya na zawsze się hańbą splami. Kanclerz rzekł potem: Co do kurjera, o odjeździe jego nie donieśliśmy panu dla tego, iż był wyprawiony tylko do dworu berlińskiego, który nie niepokoi bynajmniej przebywających w Królewcu i zarazem pisaliśmy do króla, aby się jak najprędzej zrzekł tronu, gdyż to jest bardzo potrzebnem do powszechniej pacyfikacyi i dla dobra rzeczypospolitej. Jeżeli zechce, niech się zrzecze; w przeciwnym razie, wolno mu robić co mu się spodoba. W Pan mówisz przeciw nam. JPan poseł odpowiedział: Przywykłem już do tego nieszczęścia, i nie mówię już o tém więcej, a jeżli dawniej coś takowego powiedział, nie powinienes się pan dziwić, że mam czucie i dziś jeszcze czuję dotkliwie cios zadany tym, którzy cię całkiem na wasze obietnice spuścili. Na co kanclerz: sądziłeś, że ci pisałem, iż obiecałem popierać punkta twego memoriału. JMci Pan poseł na to: Jakże miałem pisać? Trzebaż było więc, rzekł, napisać, iż nie należało się niczego więcej spodziewać, ani też ufać naszym oświadczeniom; ale ja też nie pisałem ani biało ani czarno i utrzymując tylko moję korespondencyą z podskarbin wielkim, posłałem mu kopią W Pana listu, w którym nadmieniasz, że nie ręczysz za skutek mojego memoriału. Pan kanclerz na to: Trzeba więc, aby onego listu nie czytano. Co się tyczy finalnej rezolucyi, nie możemy jej dać, ponieważ już poleciliśmy panu Dutheil, aby o to traktował w Wiedniu. Na co JPan poseł: A więc wydali-

ście nas cesarzowi i nasz los zależy od jego decyzji. Na co JPan kanc: Nie wydaliśmy was bynajmniej cesarzowi, lecz pan Dutheil, nasz pełnomocnik w wszystkich tych interesach donosić będzie wprost królowi i Rzeczypospolitej w Królewcu, o czém tam (w Wiedniu) będą traktować, i czego się trzymać wypada; ponieważ zbyt daleka byłaby droga przesłać panu depesze do posłania ich do Królewca. Co się tyczy pieniędzy, król zostanie w nie zaopatrzony. JPan poseł powiedział: Nie mam więc nic do czynienia Na co kanclerz: I na to nie mogę się z panem zgodzić, ponieważ mogą zająć interesa, o których musiałbym mieć z panem konferencyą. JPan poseł: I bez tego, z względu na swoje zdrowie, jestem zniewolony oczekiwać wiosny w Paryżu. I tak się skończyło.

Rozdział XI.

Ad M. D. G. S. M. V.

Dedukcyja dla królowej francuzkiéj, mojej ukochanej córki.
(tłumaczona z francuzkiego.)

Lubo mię słodkie nauczyło doświadczenie, że królowa córka moja oddaje mi sprawiedliwość pod względem starań łożonych przezemnie, aby żyć podług mego stanu i majątku, nie strwonię starań, których nie szczędziłem wśród odmiennych kolei życia mego i pomimo zdarzonych w nim przygód, gdy dzisiaj po tylu przeciwnościach skutek okazuje, że położenie moje jest raczej darem Najwyższego Boga, jak owocem przezorności mojej; miło mi jest spisać niniejszy wywód dla wskazania, jakim sposobem ostatecznie rozporządzam moim majątkiem, którego moja najukochańsza córka jedyną jest dziedziczką. —

Mój ojciec umierając zostawił dobra obarczone długami; taki stan rzeczy wielkiej wymagał ostrożności, aby wypłacić te długi, które całą substancją i masę pochłonąć mogły. Ja przecież nie tylko się tém zająć nie mogłem, ale musiałem zaniedbać do szczeru, i w r. 1704. interesa moje familijne, i w r. 1704. dom mój porzucić; w téj krytycznej epoce ponosiłem nawet w pewnej części koszta wojenne, Szwecya albowiem nie dostarczała mi funduszów potrzebnych na utrzymanie rewolucyi, która na tym się skończyła, że w obcych krajach szukać musiałem schronienia, i tam siebie i rodzinę moję utrzymywać.

Dobra moje palone, niszczone i na ustawiczne rabunki wystawione, nakoniec mi zabrane zostały, po części przez kredytorów, na satysfakcyą ich wierzytelności, po części przez rząd. Większa część kredytorów przecież została bez satysfakcyi, a przyrastające procenta przewyższały same kapitały.

Lecz nad moje spodziewanie po ostatniej rewolucyi (1733) rzeczy taki obrót wzięły, że się mogłem spodziewać spokojnego posiadania mego majątku; byłbym nawet wszystkie moje zapłacił długi, gdyby rząd francuzki był zastrzegł w przedugodnych warunkach pokoju nie tylko spokojne dla mnie posiadanie dóbr moich, ale i kalkulacyą z ich dochodów, od czasu zabrania mi onych w r. 1710, to jest od lat 34. Dochody te należało mi zwrócić, tak jak ja zaległem procenta, od dłu-

gów moich wypłacać winienem. Tym sposobem byłbym miał z czego substancją moję oczyścić. Tymczasem warunek ów traktatu, w najsmutniejszym stanie postawił mój majątek, gdy nic o kalkulacyi dochodów nie postanowił; musiałem mu się przecież poddać i szukać sposobów salwowania sumienia mego i honoru, pierwszego wypłacając długi moje, drugiego, unikając bankructwa.

Nie pozostawało mi więc, tylko jedno z dwojga: albo sprzedać dobra, albo wykupić z ręki dłużników. Lecz jakież mi do tego pozostały środki?

Droga negocyacyi, od chwili podpisania pokoju była mi zamkniętą. Żadnego albowiem względu osobistego spodziewać się nie mogłem od chwili jakem się zrzekł korony, i z kraju oddalił; każde przedstawienie do dworu dziś w Polsce panującego było bezkuteczne, tak dalece, że mi jedna tylko pozostała droga sądów zwyczajnych, tym więcej, że się nie mogłem spodziewać osobnej do tego komisyi za uchwałą sejmu, bo się to przy niechęci dworu wyrobić nie mogło. Ta przecież była droga najłatwiejsza do ukończenia tego interesu sumiennie i z honorem. W zwyczajnym zaś trybie procesowym trzeba było prawować się z każdym wierzycielem osobno. Życie ludzkie nie byłoby starczyło na ukończenie téj masy procesów, a tymczasem przyrastające co rok procenta byłyby powiększały masę długów. Zresztą na czémże byłby się taki interes skończył? Oto sąd byłby otaksował dobra moje, i byłby je oddał wierzycielom podług ich pierwszeństwa czyli jure potioritatis, tak jak się to zwyczajnie z dobrami bankrutów robić zwykło. Tym sposobem sumienie moje byłoby nadwerężone, gdy bardzo wiele wierzycieli byłoby spadło zupełnie. Byłby na tém i honor mój cierpiał, gdyż taki rozbiór majątku jure potioritas jest po prostu mówiąc bankructwem. Cóżby mi się zaś było zostało majątku? Nic wcale, mniej jak nic. Dekreta zaś exdiwizyjne w naszym kraju są stanowcze i nieodzwonne.

Aby uniknąć ruiny mego majątku nie pozostawało mi nic innego, jak sprzedać moje dobra; nie miałem albowiem innych funduszów na zaspokojenie moich długów i ocalenia honoru i sumienia. A nawet gdybym był miał czém te długi zapłacić, byłbym bardzo niestósownie na to moje kapitały obrócić; nie mogłem albowiem spodziewać się nigdy powrotu mego do Polski; dobra zaś moje leżą w Polsce, w kraju tak wielu rewolucyom podlegającym, w którym ani bezpieczeństwa w posiadaniu, ani opieki rządu nie ma, i w którym oficyaliści istotnie więcej od samych właścicieli rządzą.

Przezorność nawet radziła mi sprzedać ten majątek, bo chociażbym się był utrzymał na tronie, nie byłbym mógł być złać mego majątku na moje potomstwo, to jest wnuków i wnuczki, którzy nie mając indigenatu w Polsce, nie mogą w niej posiadać dóbr. Majątek ten więc byłby na ostatku na własność rzeczypospolitej przeszedł.

Dwa podobne widzieliśmy niedawno przypadki, to jest dobra książąt Nayburskich i dobra królewicza Jakóba Sobieskiego.

Sumiennie nawet moje i miłość bliźniego powodowały mię sprzedać dobra, chłopci albowiem, poddani

moji, potrzebują opieki, i obrony przeciw moim prześladowcom; ja zaś w położeniu moim opieki téj dać im nie mogę; chcąc więc sprzedać dobra moje, należało mi szukać kapitalisty znaczne summy posiadającego, należało oraz ująć sobie rząd teraźniejszy polski, aby uzyskać komisją osobną do oblikwidowania tego interesu w sposób bezstronny i sumienny.

Pan Bóg pobłogosławił mi w téj mierze jakoż:

1. Odzyskałem moje starostwa, co znacznie wzmogło masę mego majątku.

2. Wyznaczona komisya bezstronnie czynność swoją odbyła.

3. Likwidacya publicznie robiona zadosyć uczyniła memu honorowi, i dziś, lubo działanie komisyi, jeszcze nie jest skończone, tę mam satysfakcyą, że majątek mojej żony jest czysty, i że jęj się zostaną dobra Sierakowskie, oraz uczynione jęj przezemnie zapisy. Co się tyczy własnego mego majątku, spodziewam się za pomocą Bożą, że po spłaceniu wszystkich długów moich jeszcze mi się coś z niego okroi, to zaś co mi się zostanie umieszczę na pewnych funduszach w Lotaryngii tak, aby moja kochana córka szczupłą tą sukcesyą po mojej śmierci mogła dowolnie rozrzadzać, nie mniej jak i dobrami Sierakowskiemi, które się z majątku jęj matki pozostają. A lubo, dzięki niech będą Bogu Najwyższemu, wspomniona ukochana córka moja tego nie potrzebuje, ja przecież powinienem święcie majątek mój zachować, aby się jęj dostał.

Kończę to pismo moje tą uwagą, że nie mogę opatrności Bożkiej dosyć dziękować, iż lubo średni majątek miałem, lubo go na zniszczenia wojenne wystawiłem, i długami obarczyłem, tyle mi się przecież pozostaje, że się z niego przyzwolicie do końca dni moich utrzymać mogę. Córkę moję kochaną jedynaczkę postanowiłem jak tylko można najlepiej. Królowa żona moja ma 100,000 talarów intraty. Długi moje tak są zaspokojone, że nikomu szeląga nie winienem, i jeszcze mi się coś okroić może.

A dopóki mnie Pan Bóg na tym świecie zachować raczy, nigdy mu dosyć dziękować nie potrafię za jego opiekę, której doznałem w tych zdarzeniach mego życia.

(Z autografu Stanisława Leszczyńskiego, aux archives du Royaume, karta 141.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O upadku narodu czeskiego

i podniesieniu się jego przez pracę.

(Wykład dr. Emanuela Tonnera, wygłoszony na rzecz pomnika Mickiewicza w wielkiej sali ratuszowej dnia 25go Marca b. r. we Lwowie.

(Ciąg dalszy.)

„I już niestety tak dalekośmy zaszli, że prawie żadnego znamienia przymiotów właściwych czeskich na sobie nie pokazujemy. Przepowiadali dawni, że w latach przyszłych na moście prazkim prawy Czech tak rzadkim będzie, jak jekłn z złotemi rogami. Czy my teraz daleko jesteśmy od prawdy przepowiedni takiej,

natenczas nie chcę rozbiierać; niechaj każdy, kto co rozumie, sam według siebie sądzi; lecz zdaje się niemal, że prawi Czechowie w Ojczyźnie swojej żyją jako w gościnie obcy“.

Świadectwem nader wymowném, że w gronie patryotów uczciwych nie tajono sobie grożącego niebezpieczeństwa, są postanowienia i uchwały powzięte roku 1615go na powszechnym sejmie wszystkich ziem korony czeskiej, któremi starano się zapobiedz szərzeniu się niemczyzny i obwarować prawa języka czeskiego we wszystkich sprawach publicznych, a nawet i prywatnych.

Z postanowień tych kilka nadmienię: na obywatela królestwa czeskiego nikt nie może być przyjętym, kto się nie nauczył po czesku; potomstwo nowo na obywateli przyjętych aż do trzeciego pokolenia jest wykluczone z udziału we wszystkich sądach i urzędach; dzieci takich, po czesku nie umiejące, nie mogą dziedziczyć posiadłości; przy kościołach i szkołach przywróci się porządek, jaki był przed 10ciu laty. Jeżeli więc gdzie w tym czasie zaprowadzono księdza lub nauczyciela niewładającego językiem czeskim, taki nauczyciel musi być wydalony, a zastąpi go taki, który po czesku umie. W sejmach, oraz wszystkich urzędach i sądach innego języka nie wolno używać, jak tylko czeskiego itp.

Lecz wszystkie te zabiegi i starania na nic się nie przydały, gdyż wkrótce potem nieprzyjaciołom narodowości czeskiej nastęrczyła się sposobność najdogodniejsza wyniszczyć ją do szczeru. Pożądaną dla wrogów naszych sposobność nastęrczały skutki powstania powszechnie znanego, które wszczęły głównie stany czeskie wyznania ewangelickiego przeciw Ferdynandowi Ilgiemu. W przyczyny i uprawnienie powstania tego nie wchodząc, powiem tylko, że rozpoczęte było bez zastanowienia i prowadzone z potępienia godną lekko-myślnością i opieszałością, co tém widoczniejsza, skoro się zważy, że po wyborze Fryderyka, palatyna reńskiego, na króla, całe kierownictwo dostało się w ręce obce, w ręce niemieckie. Tém téż można sobie wytłómaczyć, dla czego, kiedy z Husytami i Taborytami niemal pół Europy nie mogło sobie dać rady, o dwa wieki później jedna tylko klęska wystarczyła, aby całe obalić powstanie. W XVtym wieku za był swój walczył lud, w XVIItym tylko część klasy uprzywilejowanej.

Klęskę tę, której łatwo można było uniknąć lub naprawić, ponieśli nasi w Niedzielę, dnia 8go Lutego 1620go roku. Z klęski téj na naród czeski wylała się tak obfita powódź cierpień wszelkiego rodzaju, iż rzeczywiście mnie przynajmniej nieznany przykład, aby jakkolwiek z narodów żyjących spotkało coś gorszego lub groźniejszego.

Kiedy Ferdynand Ilgi pośpieszył użyć zwycięztwa na poskromienie szlachty patryotycznej i na gruntowne wykorzenienie patyotyizmu, nieprzyjaciele narodowości czeskiej, pod płaszczykiem gorliwości dla religii i dynastji, korzystając z dogodnej sposobności, nie wzdrygali się przed użyciem wszelkich środków, aby już raz na zawsze wytępić cały naród czeski.

Pominę wyliczanie bliższych szczegółów w tém szanowném gronie, bo byłoby to oraz *infandum reno-*

vere dolorem, powiem tylko, że egzekucja na rusztowaniach i szubienicach, dręczenie w lochach podziemnych, wysyłanie masami za granicę i konfiskaty majątków na najszerzą skalę, oto główne środki, jakich używano przez czas długi na zupełne osłabienie narodu i na zubożenie tych, co w kraju pozostali. Pastwiono się nad ludem nieszczęśliwym, którego drganie niby śmiertelna szczególną było rozkoszą ciemieczom; chętnie im pomagało miastety także kilku zaprzańców, którzy sprzeniewierzyli się ojczyźnie i narodowi, żeby zbrodnią najobrzydliwszą dojść do majątku i godności.

Na domiar cierpień tych, już i tak dosyć okropnych, jeszcze i prawie cały ciąg dalszy wojny 30-letniej, której początkiem było powstanie czeskie, bezpośrednio zawadzał o kraj nasz nieszczęśliwy, który dalszych cierpień doświadczał już to srożeniem się wojsk nieprzyjacielskich, już to cesarskich, składających się z żołdactwa nawerbowanego, z ludem czeskim nie lepiej się obchodzących, jak nieprzyjaciel sam, tak iż po ukończeniu wojny cały kraj znajdował się w stanie nader opłakany. Rozległe obszary obrócone były w pustynie, bardzo wielka liczba wsi zupełnie zniknęła z powierzchni, ślad nawet nie pozostał po nich, a gdzie wprzód rozkwitał porządek wśród licznej ludności, nie znalazłbyś człowieka. Do pustych okolic sprowadzono potem kolonistów niemieckich.

W lat 50 po bitwie u Białej góry osłabienie Czechów a wzmocnienie Niemców w Czechach takie przybrało rozmiary, że zagłada Czechów stała się niunikioną.

Świadectwem najwymowniejszym rozpaczliwych wówczas stosunków narodowych w Czechach jest pisemko małe, które jakimś cudem przechowało się aż do czasów naszych. Czcigodny Bog. Balbinus, który pomimo tego, że prawie całe życie od lat młodocianych przepędził w zakonie Jezuitów, jak wiadoma, wówczas Czechom nie bardzo przychylnych, zachował serce najczulsze dla ojczyzny i ludu swego, widząc z ubolewaniem, iż rzeczywiście zanosi się już na zupełną zagładę narodowości czeskiej, do przyjaciela swego równie usposobionego znakomitego historyka, proboszcza katedry prazkiej, wystósował pismo (1670), aby ulżyć sercu ścisnionemu i zwrócić uwagę na grożące niebezpieczeństwo.

Pisemko Balbina najostrzejszym jest oskarżeniem ciemieczów narodu czeskiego i oraz najgorętszą obroną narodowości czeskiej.

Podam tu kilka ustępów z tej obrony, aby wykazać, jak wtenczas pastwiono się nad nieszczęśliwym narodem. Do jakiej zuchwałości dochodziła ówczesna nienawiść do narodowości czeskiej, dowiadujemy się z własnych słów Balbina.

„Już pominąwszy inne zażalenia najsprawiedliwsze, tacy teraz są ludzie (i mógłbym palcem na nich wskazywać), nienawiścią do języka czeskiego, uprzedzeni i rozjątrzeni, że słysząc kogo w Czechach po czesku mówiącego, uważają to jako obrazę powagi swojej i podobni do indyków zżymają się i każą albo milczeć, albo odejść.“

Że to wszystko skierowane było tylko na zupełne wytepienie narodu czeskiego w ogóle, bystry Balbin

bardzo dobrze rozumiał. Sam będąc katolikiem najwierniejszym i najgorliwszym, co pokazuje się niemal na każdej stronnicy licznych jego dzieł, przecie wyraźnie na to się użalał, iż zwycięstwa na Białej Górze nad stanami ewangelickimi osiągniętego, pod pozorem rekatolizacji Czechów nadużywano w ogóle przeciw Czechom, a więc także i katolikom.

Oto pisze autor powołany: „Po bitwie na Białej Górze, w której zgromioną została potęga stanów lewetyckich w ziemi naszój (oj, żeby też smutnych następstw bitwy tej do dziś dnia nie doświadczały także i Czesi katolicy, którzy nic nie zawinili i królowi swojemu wierność zachowali).“

I wyraźniej jeszcze nacechował zamiary tych wrogów narodu czeskiego, którzy nawet wtenczas jeszcze, kiedy naród ten już prawie dogorywając, ledwo jeszcze oddychał, nie ustawiali podejrzawać i podżegać, żeby tylko rząd i monarchę powstrzymać od jakiegokolwiek ulżenia. Wyraźnie szczwali, zmyślając, że póki istnieje, niebezpiecznym pozostanie, z czego wynika, że trzeba koniecznie wyniszczyć go do szczętu.

„Tacy niby to (pisze Balbin) ojcowie ojczyzny, podmówili króla, że trzeba wysilić Czechów, że podatkami nieznośnemi wyczerpać znój i krew ludu ubogiego i głównie a przedewszystkiēm wygładzić dawny język, albowiem póki on żyje, Czesi nie mogą kochać i znosić króla niemieckiego i zawsze wierność ich będzie wątpliwa i niestała; słyszałem nawet niejednego mówiącego, że gdyby można było, wszystkich dawnych mieszkańców Czech na plecach wypadałoby wynieść i wrzucić w morze najbliższe, wtenczas dopiero koniec byłby spiskom i powstaniom!“ I dalej w innem miejscu:

„Bliższych nam czasów nie chcę dotykać; nigdy bowiem Czechy od założenia swego nie czuły ucisku cięższego, nigdy na zupełną zagładę języka słowiańskiego nie używano środków ostrzejszych, nigdy niebezpieczeństwo nie było większe, nad czēm tē bardziej należy ubolewać, że tu wszystko dzieje się za współudziałem kilku ludzi domowych, którzy się sprzeniewierzyli ojczyźnie!“

Cóż więc dziwnego, że uczciwy i gorliwy patriota Balbinus, patrząc na takie usiłowanie i zabiegi nieprzyjaciół i nigdzie nikogo nie widząc, ktoby dzielnie mógł się oprzeć i złemu zapobiedz, w ostatecznej rozpacz o przyszłość narodu kochanego już tylko od samego nieba pomocy oczekiwał i błagał. Dla tego też obronę swoją, której bez wzruszenia najgłębszego czytać niepodobna, kończy modlitwą do głównego patrona narodu czeskiego, św. Wacława, którego wstawienia i pomocy wzywa następującemi czułemi słowy:

„Niechaj Bóg odplaci każdemu jak dla ojczyzny zasługuje, dobrze, czy źle!“

Oto zażalenie moje; jeśli może zapóźno przychodzi, zapewne jest ono prawdziwe i sprawiedliwe być nigdy nie przestanie.

Ty więc z patronów ziemi czeskiej najprzedniejszy i najświętszy Wacławie! bądź Wróciśławem i Czechom swoim przywróć sławę dawną. Znów postaw nas na miejsce, z którego przez własną niedołężność i przez grzeszną złośliwość innych upadliśmy, najwierniej aż do zgonu służąc Tobie, wierze najświętszej i

królom. Ty narodu naszego obrońco i podporo! Jeżeli zginiem, to i Tobie zginiemy. Od nowych mieszkańców naprózno oczekiwałbyś uszanowania, którem cię kraj czeski od wieków podnosi i kocha. Jeśli nie raczysz wysłuchać synów wyrodných, słysz i wysłysz modły przodków, którzy przemawiali za potomstwo swoje i w niebiosach na ciebie patrzą. Święty Wacławie, męczenniku Chrystusa, jedyny dziedzicu ziemi czeskiej, wstaw się za nami!"

Lecz, niestety, gorące modły szlachetnego Balbina nie przyniosły skutków pożądaných, chociaż zapewne powtarzał je co dzień, nim 18 lat po napisaniu apologii wzmiankowanej zakończył życie poświęcone rzeczywiście niezmordowanej i zdumiewającej nad rzeczami ojczystymi pracy. Przeciwnie, widzimy, że upadek dalszy i coraz głębszy narodu czeskiego ciągnął się dalej jeszcze przeszło wiek cały, i gdyby po stu latach Balbinus z grobu powstawszy, był mógł rozpatrzeć się po ojczyźnie ukochanej, zapewne zwątpiłszy o czujności patronów czeskich, śpiesznie byłby się schronił napowrót do grobu, aby nie być świadkiem zgonu narodu swego. Albowiem w sto lat później zabierano się do tego, żeby narodowi czeskiemu zadać ciosy śmiertelne, na seryjo już ostatnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wędrowki po Ameryce północnej.

Obrazy, opisy i zdarzenia.

Zebrał i opracował

Fr. Xaw. Tuczyński.

(Ciąg dalszy).

Po skończonej uczcie położyliśmy się na trawę i spali spokojnie aż do rana. Potem ruszyliśmy i około południa przybyliśmy do pewnej rzeki, gdzie się znajdowało kanoe (czołno) sporządzone ze skóry bawolej, a do którego strzeżenia pozostał jeden Indyjanin i jeden myśliwiec kanadyjski. Tutaj siedliśmy do łodzi. W chwili kiedyśmy wsiadali i już odbić mieli, rzekł do mnie naczelnik: „Zbliżamy się teraz do naszych najzawziętszych nieprzyjaciół, Apachów.*) Może być, że oni już ślady nasze wynaleźli, albo że nad rzeką gdzie na nas się zasadzili. W każdym razie nie zawadzi poczynić odpowiednich środków ostrożności. Każę więc tu za temi wzgórzami w pewnej od siebie odległości pozapalać ognie. Jak Apachy zobaczą ogień, a nie będą mogli rozróżnić, czy i ile wojowniczych mężów przy nich się znajduje, stracą wiele czasu nad wyszukiwaniem sposobu zbliżenia się do nich bez obawy niebezpieczeństwa, a my tymczasem upłyniemy spory kawał naprzód.

Plan ten wykonano bez zwłoki. Ognie porozpalano po za wzgórzami i krzewinami, tak że tylko widać było dym i łunę, ale nie widać było płomienia; potem spuszczone kanoe, odbito i odpłynęliśmy. Dwóch

Komanszów wiosłowało naprzemian. Korzystając z czasu, rozciągnąłem się na dnie łodzi, aby się przespać, a Kanadyjczyk poszedł za mym przykładem. Ale lubo byłem bardzo strudzony, jednakże sen nie chciał sklecić mych powiek; jakieś przecucie nieznanego mi niebezpieczeństwa nie pozwalało mi zasnąć.

Ognie pozapalane dla odwrócenia uwagi nieprzyjaciół już dawno nam z oczu zniknęły w oddali. Podczas kiedy Kanadyjczyk w głębokim śnie był pogrążony i dwaj Indyjanie w milczeniu wiosłowali, naczelnik siedział w jednym końcu łodzi i ustawicznie oczyma śledził po stepie. Przez kilka godzin nie było nic więcej można usłyszeć jak szelest, który sprawiał wiosła we wodzie i kiedy kanoe w trzcinie zaszeleściło. Nagle poznałem z postawy naczelnika, że coś niezwyklego zajęło jego uwagę. W samą rzecz dał się przed nami słyszeć jakiś głos przytłumiony, niby ze środka rzeki pochodzący. Naczelnik dał teraz wiosłarzom znak, aby przestali wiosłować, a sam schylił się nad ciałem Kanadyjczyka. Ten skoro poczuł, że się ktoś jego ramienia dotyka, otworzył oczy i spojrzał wkoło siebie. Zobaczył, że obaj wiosłarze zaprzestali pracy i wiosła nieruchomie trzymają w rękach, dla tego bardzo słusznie domyślał się, że zagraża jakieś niebezpieczeństwo.

Rzeka w tém miejscu, gdzie Kanadyjczyk zasnął, płynęła na równinie; teraz, gdzie się obudził, przeskakała się pomiędzy wysokimi brzegami. Przytém robiło się już ciemno. Zdziwiony taką zmianą, począł oglądać się naokoło, a gdy niczego podejrzanego dostrzedz nie mógł, zapytał się, dla czego go obudzono.

Przydłuższe burczenie, podobne do szelestu olbrzymiego dymadła, wyręczyło w odpowiedzi, a zarazem było dla nas wszystkich zapowiedzią, że w bliskości znajduje się szary niedźwiedź. Tak więc miałem się znów spotkać z owym srogim nieprzyjacielem, przed którym dwa dni przedtém ledwo ująć zdołałem z życiem.

— Aha! — rzekł Kanadyjczyk, — dalsze pytanie byłoby zbytecznem. Ale cóż ztąd? najlepiej zrobimy, gdy przejedziemy spokojnie, a owa bestyja zapewne nas atakować nie będzie.

— Bez pozwolenia owęj bestyi przepłynąć nie możemy, — odrzekł naczelnik; po za owem zagięciem rzeka staje się bardzo wąską, a w środku owęj wąziny znajduje się wysepka, na której ta bestyja założyła sobie mieszkanie.

Tymczasem kanoe, kręcąc się z wirem wody, płynęło dalej, a że trzeba było koniecznie coś postanowić, nim się zbliżymy do owego niebezpiecznego miejsca, rozkazał naczelnik wiosłarzom wiosłować cokolwiek w górę rzeki. Podczas tego rzekłem do naczelnika:

— Szkoda, że z karabinów naszych żadnego nie możemy zrobić użytku, gdyż moglibyśmy w przejeździe wpakować kulę w łeb nieprzyjacielowi. Ale w okolicznościach, w jakich się znajdujemy, byłoby to rzeczą niebezpieczną, gdyż odgłos strzału mógłby nam na kark sprowadzić Apachów. Według mego zdania lepiej będzie, że wysiądziemy na ląd, kanoe weźmiemy na nasze ramiona i obejdziemy owo miejsce, a z tém

*) Szczep Indyjanów na granicy pomiędzy Texas i Mexico.

djabelskiem zwierzęciem wcale nie przyjsć do bójki. Tam dalej zaś możemy znowu spuścić kanoe na wodę.

— Komansze mają ostre topory i silne ramiona, — odrzekł naczelnik, — a obaj biali myśliwi mają długie noże i broń palną. Prócz tego słyszałem, że karabin Kanadyjczyka nigdy nie chybia celu.

— Prawda, — odrzekł Kanadyjczyk, — jeśli stanę na lądzie, natenczas jestem siebie dość pewnym, ale tu w tej kołyszącej się łódce strzał mój wcale niepewny. Jeśli zatem sądzisz, że musimy przepływać tuż pod pazurami niedźwiedzia, to w teraźniejszych okolicznościach sam daję tę radę, aby zaczepki uniknąć. Zdaje się, że owa bestyja bardzo głodna, a z drugiej strony sam wiesz, że rzadko się zdarza, aby od pierwszego strzału można ubić szarego niedźwiedzia.

Naczelnik przychylił się do naszego zdania i kazał łódkę zawiosłować do brzegu; uważał jednakże za stosowne aby wprzód okolicę przepatrzyć, nimbyśmy na ląd wysiedli. Wskrobał się zatem na wysoką burtę rzeki, a potem czołgał się w trawie wysokiej nadbrzeżnej.

Tymczasem pilnie uważaliśmy na każdy szelest pochodzący z tej strony, gdzie się niedźwiedź znajdował. Niewątpliwie już nas owa bestyja zwiertżyła, gdyż teraz z jego strasznym parsaniem słyszeliśmy wyraźnie zgrzytanie kłów i drapanie pazurami o skalisty grunt wyspy.

Nagle przybiegł naczelnik.

— Dalej! dalej! — zawołał on przytłumionym głosem skoro się zbliżył do łodzi, — Indianie na koniach uwijają się na stepie. Wprawdzie nie zdolałem rozpoznać coby byli za jedni, ale nie ulega wątpliwości, że to są psy Apachy. Zdaje się, że jadą z tej strony, gdzieżemy ognie pozapalali. Naprzód! Nie pozostaje nic innego, jak chwycić za noże i topory i stawić bestyi czoło. Niech się stanie co chce, tu nie możemy ani minuty dłużej pobawić; jeźdźcy mogą lada chwilę nas zobaczyć!

Spuściliśmy zatem kanoe w sam środek strumienia, które zaraz płynęło do wyspy ze strasliwem zwierzęciem.

W innych okolicznościach nie byłoby spotkanie się ze szarym niedźwiedziem bardzo niepokoiło Indianów, byli już bowiem od dzieciństwa przyzwyczajeni do walczenia z niebezpieczeństwami. W tym jednakże razie położenie ich było nader krytyczne — z jednej strony zawzięty nieprzyjaciel... Apachy, z drugiej strony zwierz rozjuszony... szary niedźwiedź. Wiedzieli o tém, że gdyby nas zwierzę zaczepiło, a czego w każdym razie spodziewać się było potrzeba, my z naszymi broni ognistą żadnego użytku zrobić nie będziemy mogli, a skóra niedźwiedzia tak jest gruba i tak kudłami gęstemi okryta, że zwierzę przeciw uderzeniom toporów i noży jest prawie zupełnie bezpieczne. Samo ryczenie zwierzęcia, gdybyśmy je mieli ranić, musiało spowodować nieprzyjaciela. Do tego dodać niepewność jazdy w kołyszącym się skórzanem kanoe, które nie tylko że łatwo mogło się przewrócić i nas we wiru-

jący, strasznie głęboki strumień wysypać, ale przed pazurami niedźwiedzia wcale nie było bezpiecznem i za lada drapnieniem mogło być na sztuki poszarpanem. Tak więc z wielkiem napięciem oczekiwaliśmy momentu, który nas z nieprzyjacielem czworonożnym stawi oko w oko. Komansze stali z podniesionymi tomahawkami (toporami), aby w danej chwili nieprzyjacielowi pięcioraki raz zadać, a ja z Kanadyjczykiem staliśmy w tyle za nimi, uzbrojeni w nasze długie noże. Łódka nasza, pchana przez dwóch silnych wioślarzy, sunęła niesłyszalnie a szybko po powierzchni, a głuchy ryk ustawicznie z łóżyska rzeki brzmiał nam w uszach, jak gdyby jaki potwór morski usadowił się na dnie strumienia.

Niedługo ukazała się oczom naszym na powierzchni wody owa wyspa, a na jej piaszczystej i skalistej płaszczyźnie stała jakaś czarna, olbrzymia bryła.

— Jezus! Maryja! — szepnąłem z cicha do mego sąsiada Kanadyjczyka, przelektły ową olbrzymią postać.

— Tylko cokolwiek zimnej krwi! — odrzekł spokojnie Kanadyjczyk, — w najgorszym razie mamy przecież nasze karabiny, którymi bronić się będziemy.

Kanoe zbliżyło się teraz do wyspy. Na widok siedzących w łodzi mężów straszliwie niedźwiedź zaręczał, zaczął pazurami drapać, spuścić do rzeki całą lawinę piasku i kamieni, a potem podniósł się na tylnych łapach, jakby się zabierał do skoku.

Teraz kanoe wpłynęło właśnie w ów wąwóz. — Dalej! Komansze! — rzekł Kanadyjczyk, — od dobrego uderzenia wiosłem zawisło życie dziewięciu mężów

(Ciąg dalszy nastąpi).

Logogryf.

W całości jestem symbolem tej zgody,
Co wiąże serca, domy i narody,
Z dziesięciu się części składam,
A na dwie rozpadam.
Znajdziesz tu u mnie narzędzie,
Latem używane wszędzie,
I to co ciału da się czuć dotkliwie,
I jest pole, ale już po żniwie
Jest i drzewo, z którego odrosła nowe,
W górę ku słońcu kierują swą głowę,
Jest i część domu, co leży na przedzie,
A do innych wiedzie.

„Przyjaciół chorych.“

W wydaném pod tym tytułem przez Richtera księgarnią nakładową w Lipsku (Richter's Verlags-Anstalt in Leipzig) dziełku, znajdzie nie tylko chory pewne, wskazówki skutecznego leczenia swego cierpienia lecz i zdrowemu podane są oparte na doświadczeniu rady, jak zapobiegać chorobie i jak ją w pierwszym zawiązku zwalczać. Broszurkę tę rozsyła powyższa księgarnia bezpłatnie i franco, zamawiający nie ponosi przeto żadnych kosztów jak tylko 5 fen. na kartę korespondencyjną.